

Wiktor Borzemski

PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA POLSKIEJ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ W SZKOCJI

Trudno mi zabrać się do pisania po raz drugi [pierwszy list z USA zaginął — przyp. red.] i tym razem napiszę w bardzo zwartej formie.

Urodziłem się 27. 09. 1916 roku w Kosowie. Ojciec miał na imię Wojciech, Matka Zofia, z domu Staszyńska. Ojciec został przeniesiony z Bolechowa do Muszyny w roku 1920 lub 1921, na stanowisko leśniczego w rejonie Lasów Muszyny. Przyjechaliśmy tu razem z Babcią Marią oraz moim bratem Tadeuszem i zamieszkaliśmy w „Starej Leśniczówce”, która stała się naszym Domem Rodzinnym aż do 1939 roku. Leśniczówka już nie istnieje od 1972 roku i nie wiem, co na tym miejscu obecnie się znajduje [nowa murowana leśniczówka, w pobliżu DW „Budowlani”, przyp. red.]. Mój brat Tadeusz uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Muszynie i po czterech klasach przeszedł do Szkoły Kadeckiej we Lwowie. Od tego czasu mało razem przebywaliśmy - święta i letnie wakacje, to był nasz krótki czas na zżywanie się.

Zacząłem uczyć się w szkole w Muszynie w 1923 roku. Dyrektorem był pan Beldowicz, który uczył nas również muzyki. Moją nauczycielką była pani Jadwiga Pieracka, od klasy pierwszej do czwartej, kiedy zdałem egzamin wstępny do II Gimnazjum w Nowym Sączu. W Muszynie, w czasie szkolnym, mieliśmy małą „orkiestrę skrzypkową” pod batutą pana Beldowicza; daliśmy jeden czy dwa koncerty. Wystawiliśmy przedstawienie — o ile pamiętam — „Śnieżkę” w Sokole (niedaleko stacji kolejowej, po prawej stronie Popradu).

Po dwóch latach gimnazjum w Nowym Sączu przenieśliśmy się do Warszawy, gdzie zamieszkałem u stryjostwa — Wiktora i Ludwika Borzemskich. Uczęszczałem do Gimnazjum im. Króla Władysława IV do 1935 roku, kiedy otrzymałem maturę. Do Muszyny jeździłem na wszystkie święta i wakacje. To zawsze była największa radość i przyjemność — powracać do mojego rodzinnego miejsca, do pięknej, kochanej Muszyny. Warszawa była dla mnie więzieniem i liczyłem zawsze dni do wyjazdu - ucieczki ze stolicy. Po maturze wstąpiłem na Uniwersytet, na Wydział Inżynierii Leśnej. Kiedy ukończyłem drugi rok studiów, na skutek poważnej choroby stryja Wiktora, mój pobyt u niego stał się niemożliwy.

We wrześniu 1937 roku wstąpiłem do Szkoły Podchorążych Piechoty przy 13. Pułku Piechoty koło Warszawy. Po jej ukończeniu wstąpiłem do Szkoły Podchorążych Zawodowych w Komorowie i przeszedłem tzw. „Pułk Manewrowy”. W 1939 roku byłem na praktyce w 53. Pułku Piechoty w Stryju, gdzie mnie wojna zastała, i skąd rozpocząłem wędrówkę w nieznaną przyszłość.

Zanim rozpocznę opowieść o mojej „pielgrzymce”, chciałbym nadmienić, że w styczniu 1939 roku otrzymaliśmy telegramy o chorobie naszych Rodziców w Muszynie. Brat — podporucznik — i ja — kapral podchorąży — zastaliśmy Rodziców w bardzo złej kondycji. Ojciec został przewieziony do szpitala we Lwowie, a Matka do krewnych w Legionowie pod Warszawą. I to była moja ostatnia wizyta w ukochanej Muszynie, w dodatku w takich przykrych

okolicznościach. Ojciec zmarł we Lwowie w lutym 1939 roku, wtedy to po raz ostatni spotkałem się z moim bratem Tadeuszem.

53. Pułk Piechoty w Stryju od 1 września zaczął mobilizację. Na papierze wyglądało to dobrze, ale w praktyce to inna historia. Zaraz na trzeci dzień, o ile pamiętam, były trzy naloty i bombardowanie mostu na Stryju — chociaż niezbyt skuteczne. Po kilku dniach Pułk wyruszył pociągiem na zachód, aby bronić przepraw, zdaje mi się w Przemyślu. Niestety nie dojechalismy daleko. Bombardowany i ostrzeliwany Pułk powrócił na piechotę do Stryja, już w dużo mniejszej liczbie, na skutek sporej dezercji żołnierzy wywodzących się z mniejszości ukraińskiej oraz spośród Łemków. W międzyczasie przysły wiadomości o wkroczeniu Rosji na ziemie polskie oraz ostatni rozkaz Rządu, by przekroczyć granicę do Węgier czy Rumunii, z zadaniem dotarcia do Francji.

Pozostawiłem więc wszystko w mojej walizce, zabrałem płaszcz oraz chlebak i wraz z 8. Kompanią, jako dowódca plutonu, wyruszyłem drogą w kierunku granicy węgierskiej. I tutaj też nie obeszło się bez artylerii niemieckiej, która nas obsypała dość silnym ogniem, powodując straty w zabitych i rannych. Przyszedł wieczór. Następnego dnia tylko kilka samolotów rozpoznawczych przelatywało. I tak domaszerowaliśmy do granicy, o ile pamiętam, w Skolem, dnia 21 września 1939 roku. Na drugi dzień złożyliśmy broń w ręce węgierskiej armii; po południu zajeżdżał pociąg i ruszyliśmy w głąb Węgier. W końcu zostaliśmy rozmieszczeni w różnych obozach dla internowanych. W styczniu z małą grupką (4) jeńców uciekliśmy z obozu i dotarliśmy do Budapesztu; niestety w momencie przekraczania ulicy do polskiego konsulatu zostaliśmy aresztowani przez węgierską policję i zamknięci w cywilnym więzieniu w Budapeszcie. Dzięki interwencji polskiego konsulatu zostaliśmy zwolnieni i umieszczeni w obozie cywilnym w Barc w marcu 1940 roku. Po wielu wysiłkach w końcu udało nam się przeprowadzić łodzią przez rzekę Drawę do Jugosławii (obecnie Chorwacja) z początkiem kwietnia, następnie z portu w Splicie statkiem „Warszawa” dopłynęliśmy do Marsylii we Francji. Było to 17 kwietnia 1940 roku. Stamtąd przewieziono nas do obozu weryfikacyjnego do Carpiagne. Na szczęście miałem ze sobą swoją legitymację z fotografią ze Szkoły Podchorążych w Komorowie. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że otrzymałem promocję do stopnia podporucznika ze starszeństwem od 1 IX 1939 roku.

Nie będąc wchodził w szczegóły organizacji Armii Polskiej we Francji, opiszę tylko moje osobiste przeżycia. Nie mieliśmy w tym czasie wielu żołnierzy. Przyszedł rozkaz, że trzeba ochotników do obsadzenia broni przeciwpancernej w Belgii. Dwudziestu podporuczników i poruczników zaraz się na to zgłosiło. Z wielką trudnością dojechalismy wynajętym autobusem do granicy belgijskiej, do Namur. Tu już wszystko było „wyewakuowane”. Stary francuski pułkownik zapytał nas: *kto was w piekle i niebie tu przysłał — "Geries" już tu są.* I rzeczywiście, po kilkunastu minutach do miasteczka wjechały niemieckie czołgi rozpoznawcze. Zaczął się histeryczny popłoch, zgiełk, okrzyki: „Jezus Maria! Czołgi!” itd. Wtedy nagle znalazł się polski sierżant — mechanik — (przydzielony do tego francuskiego oddziału) i melduje: *Ten pociąg jest „na parze”, a Francuz gdzieś uciekł. Ja go mogę prowadzić.* W ten sposób, w kilka minut, lokomotywa i pierwsza platforma z prasowanym w kostki sianem stała się naszym środkiem ucieczki — z sierżantem na lokomotywie. Ruszyliśmy pełną parą na południe,

rozkładając się luksusowo na kostkach siana. W tym czasie Francja pogrążyła się w stanie zupełnego letargu i bez trudności naczelnicy stacji dawali nam wolny przejazd przez kilka centralnych miast, aż do Marsylii. W drodze na stacjach kupowaliśmy „długi” francuski chleb i butelki wina, a poza tym drzemaliśmy na sianie. Tymczasem Francja rozpacziała w obliczu klęski i upadku.

W Marsylii dowiedzieliśmy się, że dużo polskich wojsk ewakuowało się z portów francuskich do Anglii, i że większość przekroczyła granicę do Szwajcarii. Wiadomo było również, że już wszystkie porty okupowane są przez niemieckie wojska. Tu, w Marsylii, dołączyło do nas trzech francuskich oficerów marynarki. Ich statki odpłynęły wcześniej na Morze Śródziemne. To właśnie Francuzi stali się naszym tymczasowym „zbawieniem”. Stary komendant kolejowy Marsylii zgodził się dać nam lokomotywę i jeden wagon — na przejazd do zachodniej Francji. Wkrótce ruszyliśmy tym „ekspresem” z pełną szybkością. Bez przystanków przybyliśmy wcześniej rano do portu przy granicy hiszpańskiej — St. Jean de Luze. Było to 26 czerwca 1940 roku.

Z dała, na otwartych wodach hiszpańskich, stał jeszcze jeden duży okręt brytyjski.

— tu znowu oficerowie francuscy stali się nam ostatnim ratunkiem. Stało tam kilka łodzi rybackich i choć Francuzi niezbyt byli chętni w ostatniej chwili nas przewozić, pistolety marynarzy francuskich szybko ich przekonały. Wkrótce odpłynęliśmy dwoma łodziami na otwarte morze, a po wspięciu się po sznurowej drabince, znaleźliśmy się na pokładzie „Arandora Star”. Może po pół godzinie nadleciał rozpoznawczy niemiecki samolot, ale nie ostrzeliwał okrętu, jak też nie zrzucił żadnych bomb. Zahuczały okrętowe syreny — i powoli zaczęliśmy odpływać na zachód. Port zaczął ginać w oddali, na drogach widzieliśmy ciągnące niemieckie motocykle i czołgi. Kapitan statku wybrał okrężną drogę (ze względu na łodzie podwodne) i po dwóch dniach wylądowaliśmy w Anglii, w porcie Liverpool. Gdy maszerowaliśmy ze statku do stacji kolejowej, ludność stojąca na chodnikach witała nas milczeniem, ze smutkiem machając tylko dłońmi. Niedawno witali w ten sposób swoich żołnierzy po klęsce w Dunkierce. Mimo wszystko tu, nie tak jak we Francji, wszystko było zorganizowane - pociąg stał gotowy, również herbata i kanapki były wszędzie. Niedługo — gwizd, pociąg ruszył i odjechaliśmy w ten nieznaną kraj. Gdzieś w mózgu powstała myśl: *to już koniec naszej wędrówki — już tej wyspy nie opuścimy i będziemy jej bronić wraz z resztą ludności*. Pociąg zawiózł nas i wielu innych żołnierzy - rozbitków do obozu zbiorczego, daleko w szkockiej dolinie — w Crowford. Tu było gotowe „miasto” namiotów czteroosobowych. Znajdowało się tutaj wiele resztek innych oddziałów polskich z Francji. Zakwaterowani byli już od jakiegoś czasu. My — wydaje się - byliśmy ostatnią grupą, już nikt po nas do tego obozu nie przybył. Siedzieliśmy, przeważnie słuchając szkockiego deszczu na namiotach, aż przyszła wiadomość, że formuje się 4. Brygada Kadrowa Strzelców. No i nasza mała grupka (ponad 20 oficerów) zaraz się zapisała do tejże Brygady, która zmieniając nazwy, stała się we wrześniu 1941 roku 1. Polską Brygadą Spadochronową. Jesienią (październik) 1940 roku zostaliśmy przeniesieni do hrabstwa Fife w Szkocji, gdzie pełniliśmy służbę obserwacyjno-obronną wybrzeży zatoki Firth of Forth. Cementowe bloki, okopy, posterunki obserwacyjne, karabiny przeciwlotnicze itd. Nie wiem, czy ta obronna obsada wiele mogłaby zrobić w czasie inwazji,

ale dawała otuchę moralną szkockiej ludności, która nas traktowała z największą serdecznością i gościnnością — jako obrońców.

W styczniu 1941 roku, władając bardzo dobrze językiem angielskim, odbyłem angielski kurs dywersyjny komandosów koło Fort Williams, w północnej Szkocji. Był to, nie pamiętam już który z kolei, kurs cichociemnych w Inverlochy Castle, ale musiał być jednym z początkowych, bo baraki nie były jeszcze wykończone na zimowe kwaterowanie. Tylko jeden mały piecyk stał w środku baraku, stąd było zimno jak diabli, wiatr z gwizdem wdzierał się przez szpary, a woda w wiadrze zamarzała. Paliliśmy co się dało, ale tylko *Scotch* nas mogła rozgrzać, bo trzy kocy nie wystarczały. W czasie pewnego spokojnego wieczoru, kiedy tylko karty były w ruchu, otrzymaliśmy alarmowe wezwanie z dowództwa brytyjskiego. Zdarzył się wypadek podczas wspinaczki na Ben Nevis i zbierano ochotników na nocną wyprawę ratunkową. Brytyjscy oficerowie prowadzili nas gwiazdzistą nocą po zlodowaciałych stromiznach. Niestety, kiedy przed świtem dotarliśmy na miejsce, gdzie angielski podporucznik stoczył się ze ściany Ben Nevis, dr Jerzy Buraczewski, który towarzyszył nam ze swym zestawem pierwszej pomocy, nie mógł już dlań wiele zrobić. Zbadał go jednak dokładnie, po czym ze stoickim spokojem oznajmił brytyjskim oficerom: *Sorry, he is quite dead, sir (przykro mi, sir, on jest, całkiem nieżywy)*. Dwóch innych oficerów zostało sprowadzonych do schroniska - szałas, a my poczekaliśmy na świt, po czym rozpoczęliśmy uciążliwe schodzenie po stromej ścianie, niosąc zmarłego na noszach. Dopiero po południu dotarliśmy straszliwie zmęczeni do szałas nad potokiem, skąd inni uczestnicy kursu przejęli zadanie doniesienia ciała do Inverlochy Castle. Za ten wysiłek zostałem nagrodzony Medalem za Ratowanie Ginących.

W tym samym czasie, kiedy pełniliśmy służbę obronną wybrzeży, zaczęliśmy szkolenie spadochronowe. W lipcu 1941 roku przeszedłem kurs spadochronowy (byłem 29 skoczkiem, czyli jednym z „pionierów”) i zostałem zakwalifikowany na instruktora. Wieża spadochronowa i skoki z niej w Szkole Podchorążych w Komorowie oraz początkowe loty szybowcem „Wrona” były wielką pomocą w obeznaniu się z przestrzenią i wysokością. W czasie służby w 1. Polskiej Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej odbyłem skoki spadochronowe z różnych typów samolotów, takich jak np. „Albemarne”, „Whitley”, „Stirling” (nowszy bombowiec z owalnym otworem w podłodze w tyle samolotu — tzw. wanną — pozwalającym na wyskok na stojąco), „luksusowa” amerykańska „Dakota” (wyskok przez drzwi w tyle samolotu w postawie kucznej). Odbyłem szereg skoków ćwiczebnych z 1. Dywizją Powietrzną (brytyjską) oraz wiele skoków z balonu. Uczestniczyłem w lotach rozpoznawczych z 309. Polskim Dywizjonem Lotniczym. W lipcu 1942 roku, kiedy przydzielono nam m.in. żołnierzy ewakuowanych z Rosji, zostałem instruktorem wyszkolenia w Kompanii Szkolnej dla Podoficerów Spadochroniarzy w Pittenweem. Pamiętam, że w czasie wprowadzonego „dla odmiany” kursu terenowego dla podoficerów, miała miejsce zabawna historia. Przez kilka dni lało jak z cebra, unieruchomieni w namiotach śpiewaliśmy tylko i graliśmy w karty. Kiedy w końcu pogoda się poprawiła, osuszyliśmy starannie namioty, żołnierze wybrali się na ćwiczenia, a w obozie - oprócz pomocnika kuchennego — zostałem na służbie tylko ja. Nasz dowódca - jak co dzień — wybrał się na polowanie na króliki, które z powodzeniem uzupełniały żołnierski jadłospis. Zdjąłem battle-dress i podkoszulkę, hełmu użyłem jako „jaśka” i opalałem się w rozkosznym ciepелku

szkockiego słońca. Kiedy w pobliżu usłyszałem trzask gałęzi, było już za późno na ubranie się i przygotowanie na przyjęcie nieoczekiwanego gościa. A okazał się nim sam „Sosab” — pułkownik Stanisław Sosabowski, Dowódca 1. Brygady! Próbowałem się zameldować na pół goły, ale „Sosab” stwierdził, że *od nagusów, ani innych nudystów meldunków nie przyjmuje*, za to chce obejrzeć obóz. Cieszył się, że nas *przylapał* i zagroził, że mnie *zamknie*. Na szczęście w obozie panował idealny porządek, plutony odbywały regularne ćwiczenia, kapitan zdołał dołączyć na czas do jednego z nich, a smaczny obiad z królików sprawił, że atmosfera była ciepła, niczym to szkockie słońce. „Stary Satrapa” był zadowolony, o incydencie nikomu nie wspomniał, ani nie wyciągnął wobec mnie żadnych konsekwencji. Przypominają mi się słowa naszego srogiego Dowódcy, które pozwolę sobie tu zacytować: *W kręgu postaci, zgromadzonych wokół ogniska już nie ma stopni ani hierarchii. Wszyscy są równi, równi myślami i tęsknotą. Serca i myśli wybiegają tam, dokąd dążymy, do celu, dla którego podjęliśmy się ciężkiego wysiłku żołnierza spadochronowego. W szkockie niebo płynie pieśń polska — pieśń nadziei i tęsknoty!*

W trakcie późniejszych ćwiczebnych skoków Batalionu uległem wypadkowi podczas lądowania, kiedy to spadłem na druty telefoniczne, a z nich na tory kolejowe. Złamałem lewą kostkę, prawe kolano i cztery żebra. Po dłuższym pobycie w szpitalu powróciłem do Batalionu i odbyłem kilka skoków. Niestety, kiedy Brygada przeszła pod dowództwo brytyjskie, komisja lekarska (brytyjska) odrzuciła mnie z ekipy skoczków spadochronowych, zostałem zwolniony z funkcji adiutanta I. Baonu Spadochronowego i przydzielony do tzw. rezerwy, czyli rzutu morsko-lądowego, nieskaczącego. Tak więc nie mogłem już wziąć udziału w niefortunnej operacji w Holandii pod Arnhem. Moja Brygada powróciła stamtąd do Anglii z ogromnymi stratami.

W Szkocji otrzymałem funkcję komendanta uzupełnień do Brygady. Było sporo młodych chłopaków z Francji i innych obozów, jak również z armii niemieckiej. Po przeszkoleniu odsyłałem potrzebne grupy do Brygady, według odpowiedniego zapotrzebowania. Brygada w pełnym stanie — dość dobrze „odmłodzona” — wyruszyła na kontynent, jako jednostka powietrzna, ale już drogą morsko-lądową. Właśnie się wojna w Europie skończyła i Brygada, wchodząc w skład Brytyjskiej Armii Renu, rozpoczęła służbę okupacji Niemiec.

W czasie służby w Brygadzie otrzymałem promocję: 1 stycznia 1943 roku — do stopnia porucznika, a 1 stycznia 1945 roku — do stopnia kapitana. Potem przyszedł tzw. Polish Resettlement Corp. (PRC), a we wrześniu 1948 roku zakończyłem służbę wojskową w Wielkiej Brytanii.

A teraz moja prywatna historia. Poznałem Janet Robertson Morton bardzo przypadkowego dnia, a raczej wieczoru, w czasie jednego z nalotów i bombardowania w styczniu 1942 roku. W Wielkiej Brytanii obowiązywał ścisły „Black Out”, czyli zupełna ciemność — okna musiały być szczelnie zasłonięte, ulice bez światła, pojazdy tylko ze słabymi reflektorami na przodzie wozu. Ludzie chodzili z małymi latarkami na baterie. Po przelocie bombowców odprowadziłem Janet do domu, wziąłem jej nazwisko i adres — i tymczasem to było wszystko. Od czasu do czasu pisywaliśmy małe listy. Jeżdżąc często z grupami skoczków do Anglii (gdzie odbywały się skoki), mogłem zatrzymać się po drodze na 2-3 godziny w Edynburgu, gdzie się z Janet

spotykaliśmy. Narodziła się wielka romantyczna miłość i koleżeństwo wojennych, trudnych dni. Wkrótce Janet wstąpiła w szeregi tzw. Terytorialnej Armii Pomocniczej (ATS), niedługo otrzymała promocję do stopnia sierżanta i została przeniesiona do 192. Baterii Przeciwlotniczej. Przestrzeń i obowiązki służbowe ograniczyły możliwości spotykania się. W Nowy Rok 1943 spędziliśmy 2 godziny w kawiarni na stacji kolejowej. Janet odjechała na północ, a ja na południe. Nic nas jednak nie mogło rozłączyć i 4 marca 1944 roku zawarliśmy związek małżeński w kaplicy naszego batalionu w Leslie (Szkocja). Ksiądz kapelan Hubert Misiuda celebrował nasz ślub (zginął niestety pod Arnhem). Po zakończeniu wojny w 1945 roku Janet została z honorami zwolniona ze służby wojskowej i dołączyła po raz pierwszy do mnie, do miasteczka Leven, gdzie pełniłem służbę komendanta uzupełnień Brygady. Tu mieliśmy bardzo dobre mieszkanie — nasza „Land Lady” odjechała do Anglii i cały domek był do naszej dyspozycji.

W Szkocji po wojnie panowało straszliwe bezrobocie. Praca była możliwa jedynie w kopalniach węgla, tu nie było wielu ochotników. Skończyłem tzw. „Górnicy College” i otrzymałem „certyfikat” kopalnianego inspektora. Pracowałem w kopalni 3 lata — z płacą lepszą niż kapitan bez przydziału. Niestety zacząłem chorować na płuca i serce. Z nakazu lekarzy musiałem tę pracę (mimo wszystko lubiłem ją, zwłaszcza ze względu na koleżeńską atmosferę) porzucić. Zacząłem pracować w stalowni.

Będąc w PRC poznałem kolegę z 1. Dywizji Pancerniej i jego żonę, Amerykankę polskiego pochodzenia. Utrzymywaliśmy stały kontakt listowny. Oni już dawno odjechali do USA, do Milwaukee. Znając nasze trudne warunki, zaofiarowali nam tzw. „Affidavit”. Wkrótce otrzymałem odpowiednie papiery i złożyłem aplikację w konsulacie amerykańskim w Glasgow, z myślą, że może dostanę wizę (miałem wtedy obywatelstwo brytyjskie, więc nie podпадаłem pod specjalną „kwotę”). Tymczasem po dwóch tygodniach telefonicznie kazano mi w ciągu 24 godzin przyjechać po wizę do konsulatu. Miałem już wtedy córkę Marlen i syna Ryszarda. Sąsiad dentysta zabrał nas samochodem do Glasgow. Amerykański konsul, który przyznał nam wizy, był, jak się później dowiedziałem, spadochroniarzem. Cóż znaczy „braterskie współwsparcie”!

Ponieważ wiza była dobra tylko do końca grudnia, po wielu staraniach w końcu otrzymaliśmy miejsce na statku z początkiem grudnia 1951 roku (miejsca na statkach były w tym czasie zajęte przez powracających z okupacji Niemiec). Musieliśmy wszystko naprędce zlikwidować, a ostatnie dwa miesiące spędziliśmy u rodziców Janet w Edynburgu. Odpłynęliśmy w pierwszym tygodniu grudnia. Po pięciu i pół dniach podróży zawinęliśmy do Nowego Jorku. Rozładowywanie bagaży i formalności ciągnęły się godzinami — cóż za nieludzka procedura!

Wszystkie koszty przejazdu pokryliśmy sami, z moich i Janet oszczędności, na owe czasy była to ogromna suma. Bagaż miał odjechać drogą lądową, my natomiast na drugi dzień samolotem odlecieliśmy do Milwaukee. W czasie lotu spotkała nas silna burza śnieżna. Kiedy — już po ciemku — wylądowaliśmy w Milwaukee, ze zgrozą zobaczyliśmy, że jest tu jak na Syberii. Wszędzie śniegi, temperatura poniżej zera, a my w naszych cienkich szkockich ubraniach. Nasi „sponsorzy” zabrali nas do swojego ciepłego domu, a potem odjechalibyśmy do

wynajętego dla nas mieszkania. Było ciężko, zimno i beznadziejnie. Pracę miałem zapewnioną w fabryce szynek, jako tzw. urzędnik zaopatrzenia (przyprawy, puszki metalowe itp). Kiedy po parunastu dniach przyjechały nasze kufry, mogliśmy w końcu nosić nasze cieplejsze ubrania, niestety i tak było to za mało na tutejszą zimę. Musieliśmy więc zrobić duże wydatki na ubrania zimowe. Było nam bardzo przykro — jakże strasznie biedni byliśmy. Tu ten przepych na ulicach przed świętami, dekoracje — światła i choinki. A my z dwojgiem małych dzieci, ledwie mogliśmy im kupić czekoladkę. Często popłynęły łzy z pięknych ocząt Janet na moim ramieniu. Ale powiedzieliśmy sobie: trudno — pozostawiliśmy szkockie luksusowe życie dla mojego zdrowia i przyszłości dzieci. Czuliśmy się jak dawni pielgrzymi — pionierzy w nowoczesnych czasach. Byle do wiosny. Ale ta w 1952 roku niezbyt się spieszyła, śniegi leżały długo. Jednak słońce już jasno świeciło i dodawało trochę otuchy.

Przeczytałem w gazecie ogłoszenie, że potrzebują pracowników w fabryce maszyn. Po tygodniowej aplikacji otrzymałem pracę w wydziale maszyn. I tu nie do wiary i oficer personalny był też spadochroniarzem! Kiedy zwątpiłem w swoje możliwości, po bratersku dodał mi otuchy. Zarabiałem o 40 centów na godzinę więcej niż poprzednio; po sześciu miesiącach otrzymałem kategorię „maszynista”, a po roku „master machinist”. Pracowałem na najrozmaitszych maszynach, wyrabiając z odlewów części do samolotów (przeważnie), samochodów, łodzi podwodnych (atomowych), jak również do statków i łodzi sportowych. Praca była niezmiernie precyzyjna i odpowiedzialna, niektóre części były warte kilka tysięcy dolarów i nie było miejsca na pomyłki. Przepracowałem tam aż do czasu operacji serca w 1980 roku, kiedy to ze względu na zdrowie musiałem przejść na emeryturę.

W czasie, gdy zaczynałem pracę w maszynowni, Janet została przyjęta jako sekretarka. Pracowałem od 2.30 po południu do 11.00 wieczorem, Janet od 7.30 do 12.30, w ten sposób dzieci zawsze miały kogoś z nas w domu. Kiedy dzieci urosły, Janet podjęła pracę na pełne 8 godzin i awansowała na kierownicze stanowisko. Po trzech latach powoli zaczęliśmy wyciągać się ponad poziom biedoty. Kupiliśmy mały, stary domek, a po jakimś czasie samochód. Po raz pierwszy mogliśmy zabrać dzieci na wakacje w rejon lasów i jezior na północy Wisconsin (460 km od Milwaukee — tu wszędzie tak daleko!).

Dzieci skończyły szkołę, Marlen dodatkowo szkołę pielęgniarstwa, a Ryszard techniczną. Marlen wyszła za mąż, stosunkowo wcześnie, i mamy już dwie dorosłe wnuczki na stanowiskach (młodsza skończyła uniwersytet i jest asystentką lekarza, starsza pracuje w dziale ubezpieczeń). Syn obecnie prowadzi własny mały interes; nie jest milionerem, ale jest samodzielny. W 1967 roku kupiliśmy ten domek, w którym mieszkamy do dziś. Miał tylko cztery lata i był w dobrej dzielnicy. Niestety, Wisconsin ma olbrzymie lasy na północy i 10000 jezior, ale nie ma Popradu pod nosem...

Oboje nie jesteśmy już w dobrej formie. Nie wiadomo, czy Janet będzie mogła zająć się jeszcze swoim ogródkiem. Ja to, że cudem żyję, zawdzięczam wiedzy lekarskiej i swojej upartej naturze. Ponowne napisanie mojej historii było dla mnie wielkim wysiłkiem fizycznym i umysłowym. Po wylewie zatraciłem dużo polskich słów i wyrażeń. Moja polszczyzna już nie jest ta sama, jak kiedyś.

Załączam moją fotografię z 1947 roku w mundurze kapitana. Tytułarny stopień majora

otrzymałem już po rozwiązaniu Polskiej Armii. Dziękuję za chęć poznania tej mojej historii...



Wiktor Borzemski w mundurze kapitana (1947 rok)